

**O
JEDNO
CIĘ
PROSZĘ
LAURA DAVE**

**PRZEŁOŻYŁA
EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA**

MARGINESY

The Last Thing He Told Me

COPYRIGHT © 2021 BY Laura Dave

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY
Ewa Penksyk-Kluczkowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

*Joshowi i Jacobowi, moim cudom najłodszym,
oraz Rochelle i Andrew Dave'om
za absolutnie wszystko*

(no dalej powiedział
nie szalej powiedziała
kto szaleje powiedział
ty aniele powiedziała)

e.e. cummings

przeł. Stanisław Barańczak

Prolog

Owen żartował sobie ze mnie, że wszystko gubię, że uczyniłam z gubienia rzeczy prawdziwą sztukę. Okulary przeciwsłoneczne, klucze, rękawiczki, bejsbolówki, znaczki, aparaty fotograficzne, komórki, butelki coli, długopisy, sznurówki. Skarpetki. Żarówki. Foremki do lodów. Zasadniczo miał rację. Rzeczywiście kiedyś miałam skłonność do nieodkładania rzeczy na miejsce. Do rozpraszenia się. Do zapominania.

Na drugiej randce zgubiłam bilet parkingowy z garażu, w którym zostawiliśmy samochody, żeby pójść na kolację. Każde z nas przyjechało swoim wozem. Owen później z tego żartował – uwielbiał się nabijać, jak to uparłam się przyjechać sama na tę drugą randkę. Żartował na ten temat nawet w noc poślubną. A ja śmiałam się z tego, jak mnie maglował tamtego wieczoru, bez końca wypytyjąc o moją przeszłość – o mężczyzn, których rzuciłam, i o tych, którzy rzucili mnie.

Mówił o nich „potencjalni chłopcy”. Wzniósł za nich toast i powiedział, że gdziekolwiek są, jest im wdzięczny, że to nie ich szukałam, więc teraz on siedzi naprzeciwko mnie.

– Ledwie mnie znasz – odparłam.

Uśmiechnął się.

– Trudno w to uwierzyć, prawda?

Nie mylił się. Od samego początku między nami było coś obezwładniającego. Lubię myśleć, że dlatego byłam rozkojarzona. Dlatego zgubiłam wtedy bilet parkingowy.

Zaparkowaliśmy na parkingu hotelu Ritz-Carlton w centrum San Francisco. A parkingowy krzychał, jak bardzo go nie obchodzi, że podobno byliśmy tylko na kolacji.

Opłata za zagubiony bilet wynosiła sto dolarów.

– Może trzymacie tu te samochody od wieków – mówił parkingowy. – Skąd mam wiedzieć, że nie chcecie mnie zrobić w konia? Sto dolarów plus podatek za każdy zgubiony bilet. Na tablicy jest napisane. – Sto dolarów plus podatek, żeby pojechać do domu.

– Na pewno go zgubiłaś? – spytał Owen. Ale się przy tym uśmiechał, jakby to była najlepsza informacja, jaką o mnie zdobył tego wieczoru.

Na pewno. I tak jednak przeszukałam każdy centymetr wynajętego volvo i drogiego sportowego wozu Owena (mimo że wcześniej w nim nie byłam) i całego szarego wielgachnego parkingu. Zero biletu. Po prostu przepadł.

Tydzień po zniknięciu śnił mi się Owen, jak stoi na tym parkingu. Miał na sobie ten sam garnitur – ten sam uroczy uśmiech. W tym śnie zdejmował obrączkę ślubną.

– Zobacz, Hannah – powiedział. – Ja też się zgubiłem.

Część pierwsza

Nie mam cierpliwości do naukowców, którzy biorą kawałek drewna, wybierają jego najcieńszą część i wiercą dziury tam, gdzie jest to najłatwiejsze.

Albert Einstein

Jeśli otwierasz drzwi nieznanym...

W kółko leci coś takiego w telewizji. Rozlega się pukanie do drzwi, a po ich drugiej stronie ktoś czeka, żeby cię powiadomić, że wszystko się zmieniło. W telewizji zwykle jest to kapelan policyjny albo strażak, albo przedstawiciel sił zbrojnych po cywilnemu. Ale kiedy ja otwieram drzwi – kiedy się dowiaduję, że dla mnie się wszystko zmieni – posłańcem nie jest policjant ani urzędnik federalny w odprasowanych spodniach. To dwunastoletnia dziewczynka w stroju piłkarskim. Ochraniających itepe.

– Pani Michaels? – pyta.

Waham się chwilę. Często tak robię, gdy ktoś mnie pyta, czy jestem tym, kim jestem. I tak, i nie. Nie zmieniłam nazwiska. Byłam Hanną Hall przez trzydzieści osiem lat, zanim poznałam Owena, i nie widziałam powodu, by od tamtego momentu stać się kimś innym. Ale jesteśmy już ponad rok po ślubie i przez ten czas nauczyłam się jednak nie poprawiać ludzi. Bo tak naprawdę pytają przecież, czy jestem żoną Owena.

Na pewno to właśnie chce wiedzieć ta dwunastolatka, i tu muszę wyjaśnić, skąd wiem, że ona ma dwanaście lat, skoro przez większość życia dzieliłam ludzi na dwie kategorie: dzie-

ci i dorosłych. Ta zmiana to rezultat ostatniego półtora roku, zasługa córki mojego męża, Bailey, która jest w wyjątkowo niezachęcającym wieku lat szesnastu. To efekt mojej pomyłki, gdy przy pierwszym spotkaniu z nieufną Bailey powiedziałam, że wygląda na młodszą. Nie mogłam zrobić nic gorszego.

A może coś by się znalazło. Gorsza była pewnie próba poprawy wrażenia dowcipem o tym, jak to bym chciała, żeby ktoś mi tak powiedział. Bailey mnie nie trawi od tego czasu, choć już wiem, że przy szesnastolatce lepiej nie rzucać żadnych żartów. Najlepiej w ogóle nie za dużo z nią rozmawiać.

Ale wróćmy do mojej dwunastolatki stojącej na progu, przestępującej z nogi na nogę w brudnych korkach.

– Pan Michaels prosił, żebym to pani dała – mówi.

I gwałtownym ruchem wyciąga przed siebie rękę, w której trzyma złożoną kartkę z żółtego notesu. Na wierzchu widzę „Hannah” skreślone pismem Owena.

Biorę kartkę, patrząc dziewczynce w oczy.

– Przepraszam... coś mi umknęło... Jesteś koleżanką Bailey?

– Kto to jest Bailey?

Nie spodziewałam się potwierdzenia. Dwunastolatki i szesnastolatki dzieli przepaść. Ale nie rozumiem... Dlaczego Owen po prostu do mnie nie zadzwonił? Dlaczego angażował tę dziewczynkę? Przede wszystkim przyszło mi do głowy, że coś się stało Bailey, a Owen nie mógł się wyrwać. Ale Bailey jest w domu, unika mnie jak zwykle, jej głośna muzyka (dzisiaj jest to *Beautiful: The Carole King Musical*) pulsuje aż na dole, zapętlona przypominajka, że nie jestem mile widziana w jej pokoju.

– Przepraszam... trochę nie rozumiem... gdzie się z nim spotkałaś?

– Biegł korytarzem – mówi.

Przez chwilę myślę, że chodzi o nasz korytarz, ten za moimi plecami. Ale to nie ma sensu. Mieszkamy w domu na wodzie, powszechnie się mówi „barka mieszkalna”, tylko nie tu w Sausalito, gdzie jest ich cała dzielnica. Czterysta takich przybytków. Tutaj to są pływające domy – mają wielkie okna i malowniczo się prezentują. Naszym chodnikiem jest pomost, w korytarzu mamy salon.

– Więc spotkałaś pana Michaela w szkole?

– Tak właśnie powiedziałam. – W jej oczach widzę pytanie: „A gdzie miałabym go spotkać?”. – Słysyśmy z moją koleżanką Claire na treningu. I on poprosił, żebyśmy to podrzuciły. Uprzedziłam, że mogę to zrobić dopiero po treningu, a on powiedział, że okej. Dał nam pani adres.

Podnosi drugą kartkę na dowód.

– I dwadzieścia dolarów – uzupełnia.

Pieniędzy nie pokazuje. Może sądzi, że jej zabiorę.

– Zepsuł mu się telefon czy coś i nie mógł się do pani dozwonić. Nie wiem. Prawie się nie zatrzymał.

– I... i powiedział, że zepsuł mu się telefon?

– A skąd bym to wiedziała?

W tym momencie dzwoni jej komórka – w każdym razie myślę, że to komórka, ale ona zerka na urządzenie przy pasku wyglądające bardziej na wymyślny pejdżer. Czy znowu się używa pejdżerów?

Piosenki Carole King. Nowoczesne pejdżery. Jeszcze jeden powód, dla którego pewnie Bailey brakuje dla mnie cierpliwości. Absolutnie nie mam pojęcia o świecie nastolatka.

Dziewczyna stuka coś na urządzeniu, już zapominając o Owenie i swoim zleceniu za dwadzieścia dolarów. Nie chcę, żeby odeszła, bo dalej nie rozumiem, co się dzieje. Może to jakiś dziwny dowcip. Może Owen uważa, że to zabawne. Moim zdaniem to nie jest zabawne. W każdym razie tak myślę w tej chwili.

– Do widzenia – mówi dziewczynka.

Odchodzi pomostem. Patrząc, jak jej sylwetka robi się coraz mniejsza, słońce znika w wodach zatoki, a drogę oświetla garść pierwszych gwiazd.

Też wychodzę przed dom. Chyba mam nadzieję, że Owen (mój uroczy i niemądry Owen) wyskoczy gdzieś z boku, a za nim będzie chichotać reszta drużyny piłkarskiej, tłumacząc mi prank, którego najwyraźniej nie pojęłam. Ale nie ma go. Nikogo nie ma.

Więc zamykam drzwi naszego domu. I patrzę na żółtą kartkę w swoich dłoniach. Jeszcze jej nie przeczytałam.

W ciszy uświadamiam sobie, jak bardzo nie chcę jej przeczytać. Nie chcę poznać jej zawartości. Pragnę się trzymać tej ostatniej chwili – chwili, gdy ciągle da się wierzyć, że to żart, błąd, absolutnie nic; gdy jeszcze nie wiem, że zaczęło się coś, czego nie mogę zatrzymać.

Rozkładam kartkę.

Wiadomość od Owena jest krótka. Jedna linijka, niezrozumiała.

„Chroń ją?”

Greene Street w dawnych czasach

Poznałam Owena dwa lata temu z kawałkiem.

Mieszkałam wtedy jeszcze w Nowym Jorku. Pięć tysięcy kilometrów od Sausalito, niewielkiej miejscowości w północnej Kalifornii, gdzie teraz jest mój dom. Sausalito znajduje się po drugiej stronie Golden Gate, patrząc od San Francisco, ale od miejskiego życia dzieli je cały świat. Jest ciche, urocze. Senne. To miejsce Owen i Bailey nazywali swoim domem od ponad dziesięciu lat. Sausalito jest też całkowitym przeciwieństwem mojego poprzedniego życia, które prowadziłam na Manhattanie, w pracowni na Greene Street w SoHo – w niewielkim lokalu o astronomicznym czynszu, na który raczej mnie nie było stać. Służył mi za warsztat i za showroom.

Obrobiam drewno. Na tym polega moja praca. Ludzie zwykle robią miny, kiedy im mówię, że zajmuję się tym zawodem (jakkolwiek staram się to opisać), do głowy przychodzą im obrazki z zajęć praktyczno-technicznych w liceum. Lubię mówić, że to rzeźbienie, tylko że rzeźbię w drewnie, nie w glinie.

Zdobyłam ten zawód w sposób naturalny. Mój dziadek był tokarzem – do tego doskonałym – i odkąd pamiętam, moje ży-

cie kręciło się wokół jego pracy. Odkąd pamiętam, moje życie kręciło się wokół niego, ponieważ zasadniczo to on mnie wychował.

Mój ojciec Jack i moja matka Carole (która wołała, bym zwracała się do niej po imieniu) w żadnym stopniu nie byli zainteresowani wychowywaniem dziecka. W ogóle niczym nie byli zainteresowani oprócz kariery fotograficznej ojca. Kiedy byłam mała, dziadek usiłował zachęcać moją matkę do zajmowania się mną, ale ojca ledwie znałam, ponieważ przez dwieście osiemdziesiąt dni w roku podróżował. W czasie wolnym od pracy zaszywał się na ranchu rodzinnym w Sewanee w Tennessee, zamiast jechać do domu dziadka we Franklin i побыć ze mną. A krótko po moich szóstych urodzinach, kiedy odszedł od matki do swojej asystentki – kobiety o imieniu Gwendolyn, która właśnie skończyła dwadzieścia jeden lat – moja matka też przestała przyjeżdżać do domu. Uganiała się za moim ojcem, aż przyjął ją z powrotem. Wówczas już na dobre zostawiła mnie z dziadkiem.

Brzmi jak łzawa historia, ale to tylko pozory. Oczywiście trudno uznać za idealną sytuację, gdy twoja matka w zasadzie znika. Na pewno osoba, której się to przytrafi, nie czuje się dobrze. Ale z perspektywy czasu myślę, że matka wyświadczyła mi przysługę, odchodząc w ten sposób. Przynajmniej nie mam wątpliwości: nic nie mogłam zrobić, żeby została.

Jej odejście sprawiło też, że byłam szczęśliwsza. Dziadek był zrównoważony i miły. Codziennie robił mi kolację, czekał, aż skończę posiłek, zanim powiedział, że czas na wstanie od stołu i czytanie mi bajki przed snem. I zawsze mi pozwalał patrzeć, jak pracuje.

Uwielbiałam patrzeć, jak pracuje. Brał do ręki wielki kawałek drewna i umieszczał go w tokarce, by przeobrazić go w coś magicznego. A jeśli efekt nie był odpowiednio magiczny, dziadek zaczynał od początku.

To był mój ulubiony moment: kiedy podnosił ręce do góry i mówił: „No cóż, musimy to zrobić inaczej, prawda?”, i szukał nowej drogi do tego, co chciał stworzyć. Niewątpliwie dowolna psycholożka z prawdziwego zdarzenia powiedziałaaby: to musiało mi dawać nadzieję – pewnie myślałam, że dziadek robi to samo ze mną. Zacznie od nowa.

Ale jeśli już, to chyba czerpałam pocieszenie z czegoś zupełnie innego. Przeglądając się dziadkowi przy pracy, uczyłam się, że nie zawsze idzie jak po maśle. Że próbujesz raz tak, raz inaczej, ale nigdy nie rezygnujesz. Robisz to, co trzeba, dokądkolwiek to cię prowadzi.

Nie spodziewałam się, że odniosę sukces w obróbce drewna – ani w wybranej specjalizacji, czyli w tworzeniu mebli. Raczej zakładałam, że nie będę w stanie się z tego utrzymać. Dziadek regularnie musiał dorabiać, podejmując się prac budowlanych. Ale dość wcześnie, gdy jeden z moich bardziej imponujących stołów pojawił się w „Architectural Digest”, znalazłam swoją niszę wśród wąskiej grupy mieszkańców centrum Nowego Jorku. Jak to wyjaśnił jeden z moich ulubionych architektów wewnątrz: klienci chcieli wydawać duże pieniądze na urządzenie domów, ale tak, by wyglądało na to, że w ogóle tych pieniędzy nie wydali. Moje rustykalne drewniane meble idealnie się do tego nadawały.

Z czasem ta wierna klientela rozrosła się w nieco większą grupę z innych miast jednego i drugiego wybrzeża oraz miej-

scowości wypoczynkowych: Los Angeles, Aspen, East Hampton, Park City, San Francisco.

Tak właśnie poznałam Owena. Z moich usług korzystał Avett Thompson – dyrektor generalny firmy z branży nowych technologii, w której Owen pracował. Avett i jego żona, absurdalnie olśniewająca Belle, należeli do moich najwierniejszych klientów.

Belle lubiła żartować, że jest żoną na pokaz, co może byłoby zabawniejsze, gdyby nie było tak bardzo prawdziwe. Eksmodelka, dziesięć lat młodsza od dorosłych dzieci Avetta, pochodziła z Australii. Moje meble stały w każdym pomieszczeniu ich domu w San Francisco (gdzie mieszkali razem z Avettem) i świeżo wybudowanym domu wiejskim w St. Helena, na północnym końcu Napa Valley, dokąd Belle zwykle wyjeżdżała sama.

Spotkałam się z Avettem ledwie kilka razy, zanim przyszedł z Owenem do mojego warsztatu. Przyjechali do Nowego Jorku na spotkanie z inwestorem i Belle chciała, by zajrzeli do mnie i rzucili okiem na stolik, który zamówiła do sypialni. Avett nie był pewien, co ma sprawdzać, chodziło chyba o to, żeby stolik pasował do łóżka – do ramy, w której spoczywał ich organiczny materac za dziesięć tysięcy dolarów.

Szczerze? Avetta w ogóle stolik nie obchodził. Kiedy weszli do mnie z Owenem, był w szykownym niebieskim garniturze, siwiejące włosy miał sztywne od żeluzel, a telefon przyklejony do ucha. Właśnie rozmawiał. Spojrzał raz na stolik i na chwilę zasłonił mikrofon.

– Podoba mi się. Wszystko okej?

I zanim odpowiedziałam, wyszedł na dwór.

Owen z kolei był oczarowany. Zwiedził cały warsztat, zatrzymując się przy każdym meblu.

Przyglądałam mu się, jak tak krąży. Było w nim coś nie-spójnego: długie kończyny, rozczochrane blond włosy, ogorzała skóra i znoszone converse'y zupełnie nie pasowały do drogiej sportowej marynarki. Wyglądał, jakby prosto z deski surfingowej wskoczył w marynarkę i świeżutką koszulę.

Uświadomiłam sobie właśnie, że się na niego gapię, i zaczęłam się odwracać, gdy zatrzymał się przy moim ulubionym meblu – ciężkim rustykalnym stole, który służył mi za biurko.

Większość jego powierzchni zajmowały komputer, gazety i przybory. Żeby dostrzec ten stół, trzeba było naprawdę patrzeć. A on patrzył. Przyglądał się twardej sekwoi, którą wydlutowałam, delikatnie żółcąc krawędzie zespolone metalem.

Czy Owen jako pierwszy zwrócił uwagę na ten stół? Nie, oczywiście, że nie. Ale pierwszy się nachylił tak, jak ja to robiłam, i musnął palcami ostry metal.

Obrócił głowę, by na mnie spojrzeć.

– Auć – powiedział.

– Nie chciałby pan wpaść na niego po ciemku.

Wyprostował się i poklepał stół na pożegnanie. A potem ruszył w moją stronę. Podchodził, aż się okazało, że jesteśmy blisko siebie – dla mnie, prawdę mówiąc, za blisko. Musiałam zadać sobie pytanie, jak do tego doszło. Powinnam pewnie poczuć się skrępowana, że mam na sobie koszulkę na ramiączkach, dżinsy pobrudzone farbą, niechlujnie związane brudne włosy. Ale poczułam zupełnie co innego, gdy widziałam, jak na mnie patrzy.

– Ile kosztuje? – spytał.

– Niestety ten stół jest tu jedynym przedmiotem nie na sprzedaż.

– Bo może powodować uszkodzenia ciała?

– Właśnie tak.

Wtedy się uśmiechnął. Owen. Wtedy Owen się uśmiechnął... To było jak tytuł kiego piosenki pop. Gwoli ścisłości, nie chodziło o to, że uśmiech rozjaśnił jego twarz. Nie chodziło o jakiś sentymentalizm czy porażający efekt. Raczej o to, że Owen z tym swoim uśmiechem – tym szczodrym, dziecięcym uśmiechem – sprawiał wrażenie dobrego. Było to dobro, jakie się nie spotyka na Greene Street na Manhattanie. Czułam, że tak serdecznego uśmiechu już nigdy nie ujrzę na Greene Street na Manhattanie.

– Nie da się negocjować? – spytał.

– Niestety nie, ale mogę panu pokazać inne meble.

– A może jakaś lekcja? Mogłaby mi pani pokazać, jak zrobić taki stół, może z trochę bardziej przystępnymi krawędziami... Podpiszę oświadczenie, że robię to na własne ryzyko.

Ciągle się uśmiechałam, ale czułam się zmieszana. Bo nagle uświadomiłam sobie, że chyba już nie rozmawiamy o stole. Żadne „chyba” – na pewno nie rozmawialiśmy już o stole. Bez błędnie to rozpoznałam jako kobieta, która po dwóch latach narzeczeństwa uświadomiła sobie nagle, że nie może poślubić narzeczonego. Dwa tygodnie przed ślubem.

– Słuchaj, Ethan – powiedziałam.

– Owen...

– Owen. Miło, że pytasz, ale z zasady nie umawiam się z klientami.

– W takim razie dobrze się składa, że nie stać mnie na żaden ze sprzedawanych u ciebie przedmiotów.

A jednak przystopował. Wzruszył ramionami, jakby mówił: „Innym razem”, i ruszył do drzwi i do Avetta, który krążył w tę i z powrotem po ulicy, ciągle z telefonem przy uchu, krzycząc na rozmówcę.

Już prawie dotarł do drzwi. Już prawie odszedł. Nagle jednak poczułam, że muszę go dogonić, zatrzymać, powiedzieć, że nie to miałam na myśli. Tylko coś zupełnie innego. Bo tak naprawdę pragnęłam powiedzieć, że powinien zostać.

Nie twierdzę, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Po prostu nie chciałam, żeby odchodził. Pragnęłam trochę dłużej obcować z tym szerokim uśmiechem.

– Chwileczkę – powiedziałam. Rozejrzałam się, szukając jakiegos pretekstu, którym mogłabym go zatrzymać, namierzyłam tkaninę należącą do innego klienta, i wzięłam ją do ręki. – To dla Belle.

To nie był mój najlepszy moment. I jak powiedziałaby wam mój były narzeczony, całkowicie do mnie nie pasowało, abym wyciągnęła do drugiego człowieka rękę w innym celu niż odepchnięcie go.

– Dopilnuję, żeby to dostała – powiedział.

Wziął tkaninę, nie patrząc mi w oczy.

– Tak swoją drogą, ja też się z zasady nie umawiam. Jestem samotnym ojcem, więc to oczywiste... – Urwał. – Ale moja córka jest uzależniona od teatru. I stracę kilka punktów, jeśli podczas pobytu w Nowym Jorku nie zobaczę jakiejś sztuki. – Ruchem ręki wskazał wściekłego towarzysza, który krzyczał na

ulicy. – Avett nie za bardzo przepada za teatrem, w co może trudno uwierzyć...

– Owszem, trudno.

– Więc... co sądzisz? Chcesz iść?

Nie przysunął się bliżej, ale podniósł wzrok. I spojrzał mi w oczy.

– Nie uznawajmy tego za randkę – dodał. – To jednorazowa sprawa. Tu się zgadzamy. Tylko kolacja i przedstawienie. Miło było poznać.

– Bo się z zasady nie umawiamy?

Uśmiechnął się otwarcie i szczerze.

– Właśnie. Właśnie z tego powodu.

– Co to za zapach?

Odrywam się od wspomnień. Bailey stoi w progu kuchni. Wygląda na zirytowaną, gdy tak czeka w wielkim swetrze – z torbą przewieszoną przez ramię i włosami z fioletowymi pasemkami uwiecznionymi pod jej paskiem.

Uśmiecham się do niej, przytrzymując brodą telefon. Próbowалам dodzwonić się do Owena, bezskutecznie, połączyłam się tylko z pocztą głosową. Po raz kolejny.

– Przepraszam, nie zauważyłam cię – mówię.

Nie odpowiada, usta ma w ciup. Odkładam telefon, ignorując jej wieczny grymas niezadowolenia. A jednak jest piękna. Piękna w taki sposób, że gdy wchodzi do pomieszczenia, ludzie zwracają na nią uwagę. Nie za bardzo jest podobna do Owena: jej fioletowe włosy są naturalnie kasztanowe, oczy ciemne i dzikie. Patrzą z natężeniem, wciągając cię w głębię. Owen mówi, że takie same oczy miał jej dziadek od strony matki, dlatego

dali jej imię po nim. Dziewczyna o imieniu Bailey. Po prostu Bailey.

– Gdzie jest tata? – pyta. – Miał mnie zawieźć na trening. Spinam się, pamiętając o wiadomości od Owena, spoczywającej teraz u mnie w kieszeni.

„Chroń ją”

– Na pewno niedługo będzie – mówię. – Zjedz obiad.

– To ten zapach?

Marszczy nos, jakby jeszcze nie było oczywiste, że zapach, o który pyta, jej się nie podoba.

– To linguine, które jadłaś w Poggio.

Patrzy na mnie niewzruszonym wzrokiem, jakby Poggio nie było jej ulubioną knajpą w okolicy, jakbyśmy nie byli tam kilka tygodni temu, żeby świętować jej szesnaste urodziny. Zamówiła specjalność wieczoru – domowe linguine pełnoziarniste z masłem palonym. A Owen dał jej do tego spróbować malbeca ze swojego kieliszka. Sądziłam, że była zachwycona daniem. Ale może zachwyciło ją picie wina z ojcem.

Nakładam na talerz kopiastrą porcję i stawiam na blacie.

– Spróbuj – zachęcam. – Będzie ci smakować.

Bailey wpatruje się we mnie nieruchomo, usiłując zdecydować, czy jest w nastroju na ostateczną rozgrywkę: czy jest w nastroju na rozczarowanie ojca, gdybym mu naskarzyła, że wyszła szybko i bez obiadu. Dochodzi do wniosku, że nie, tłumii irytację i wskakuje na stołek.

– Dobra – mówi. – Zjem trochę.

Bailey mnie sprawdza. To jest najgorsze. Nie jest złym dzieckiem ani potworem. Jest dobrą córką, tylko ta sytuacja jej strasznie nie odpowiada. A tak się składa, że tą sytuacją jestem ja.

Nastoletnie dziewczyny nie akceptują nowych żon swoich ojców z oczywistych powodów, zwłaszcza Bailey, która miała idealną sytuację – byli we dwoje, najlepsi kumple, Owen, jej największy fan. Te oczywiste powody nie do końca tłumaczą ogrom niechęci Bailey do mnie. Nie chodzi tylko o to, że przy pierwszym spotkaniu źle oceniłam jej wiek. Chodzi też o popołudnie niedługo po mojej przeprowadzce do Sausalito. Miałam odebrać Bailey ze szkoły, ale utknęłam na rozmowie z klientem – i przyjechałam pięć minut spóźniona. Nie dziesięć. Pięć. 17.05. Taka godzina widniała na zegarze, kiedy zajechałam pod dom jej przyjaciółki. Ale mogłaby to być godzina później, bez różnicy. Bailey jest wymagającą dziewczyną. Owen powie wam, że to akurat nas łączy. I jego żona, i jego córka w ciągu pięciu minut wiedzą wszystko o drugim człowieku. Tyle im wystarczy. I w ciągu pięciu minut, kiedy Bailey podejmowała decyzję, ja prowadziłam rozmowę, której nie powinnam była odebrać.

Teraz zawija na widelcu porcję makaronu.

– Wygląda inaczej niż w Poggio.

– Hm, no nie. Przekonałam szefa kuchni, żeby dał mi przepis. Wysłał mnie nawet do Ferry Building po chleb czosnkowy, który do tego podaje.

– Pojechałaś do centrum San Francisco po chleb?!

Niewykluczone, że za bardzo się staram. Tak, no właśnie.

Nachyla się nad talerzem i wsadza całą porcję do buzi. Zagryzam wargę, spodziewając się aprobaty – jakiegoś „mniam” dobywającego się z jej ust, mimowolnie.

I wtedy ona się krztusi. Dosłownie się krztusi. I sięga po wodę.

– Coś ty tu dała?! – pyta. – Smakuje jak... jak węgiel.

– Ale ja tego próbowałam. Jest doskonałe.

Kosztuję znowu. Ma rację. W zamęcie po wizycie dwunastolatki i po wiadomości od Owena masło palone straciło swoją lekką, pianistą intensywność – jest po prostu spalone. I gorzkie. W smaku przypomina ognisko.

– I tak muszę już lecieć – mówi Bailey. – Zwłaszcza jeśli Suz ma mnie podwieźć.

Wstaje. A ja sobie wyobrażam, że Owen stoi za mną, nachyla mi się do ucha i szepcze: „Przeczekaaj to”. Tak zawsze robi, gdy Bailey odnosi się do mnie z lekceważeniem. Mam przeczekać. Czyli że pewnego dnia ona się zmieni. Ale też – za dwa i pół roku wyjeżdża do college’u. Owen niestety nie rozumie, że to żadne pocieszenie. Dla mnie znaczy to tylko, że kończy mi się czas, by ona zechciała wykonać jakiś ruch w moją stronę.

Chcę, by się do mnie zbliżyła. Chcę, żebyśmy miały relację i to nie tylko ze względu na Owena. Chodzi o coś więcej – coś ciągnie mnie do Bailey, mimo że ona mnie odpycha. Po części dlatego, że rozpoznaję w niej takie same jak u siebie rany po utracie matki. Moja matka odeszła z wyboru, matka Bailey zginęła tragicznie, ale jedno i drugie odciska na człowieku podobne piętno. Zostajesz w tym samym obcym miejscu, próbując rozgryźć, jak się poruszać po świecie, nie czując wzroku najważniejszej osoby.

– Podejść do Suz – mówi. – Ona mnie podwiezie.

Suz, jej przyjaciółka, też trenuje. I też mieszka w dokach. Suz to bezpieczne rozwiązanie, prawda?

„Chroń ją”

– Ja cię podwiozę – decyduję.

– Nie. – Zakłada fioletowe włosy za ucho, zmienia ton. – Nie ma problemu, Suz i tak jedzie...

– Jeśli ojciec do tego czasu nie wróci – mówię – przyjadę po ciebie potem. Jedno z nas będzie czekało przed wejściem.

Przewierca mnie spojrzeniem.

– Dlaczego miałby nie wrócić?

– Wróci. Na pewno wróci. Po prostu pomyślałam... jeśli ja po ciebie przyjadę, będziesz mogła poprowadzić w drodze powrotnej.

Bailey właśnie dostała pozwolenie na jazdy pod nadzorem. Musi rok pojeździć pod opieką osoby pełnoletniej, zanim będzie mogła jeździć sama. Owen nie lubi, kiedy ona prowadzi po zmroku, nawet jeśli jest z nim. A ja widzę w tym okazję do wykorzystania.

– Jasne – mówi Bailey. – Dzięki.

Idzie do drzwi. Chce skończyć tę rozmowę, wyjść na powietrze Sausalito. Powiedziałyby wszystko, żeby się stąd wyostać, ale ja uznaję, że jesteśmy umówione.

– Więc widzimy się za dwie godziny?

– Do zoba – mówi.

Jestem zadowolona, choćby tylko na chwilę. Potem drzwi frontowe zamykają się z trzaskiem. I znowu zostaję sama z wiadomością od Owena, charakterystyczną ciszą w kuchni i makaronem w ilości wystarczającej dla dziesięcioosobowej rodziny.

Nie zadawaj pytań, jeśli nie chcesz znać odpowiedzi

Jest dwudziesta. Owen ciągle nie zadzwonił.

Skręcam w lewo na parking pod szkołą Bailey i stoję przed samym wejściem.

Ściszam radio i po raz kolejny dzwonię do męża. Serce mi przyspiesza, kiedy łączę się z pocztą głosową. Minęło dwanaście godzin, odkąd wyszedł do pracy, dwie godziny od wizyty piłkarki, zostawiłam mu osiemnaście wiadomości bez odpowiedzi.

– Cześć – mówię po sygnale – nie wiem, co jest grane, ale musisz do mnie natychmiast oddzwonić. Owen? Kocham cię, ale cię zabiję, jeśli się do mnie zaraz nie odezwiesz.

Rozłączam się i patrzę na swoją komórkę, jakby miała natychmiast ożyć. Jakby Owen spieszył z dobrą wymówką. Właśnie za to – między innymi – najbardziej go kocham. Zawsze ma dobrą wymówkę. Cokolwiek się dzieje, on w każdej sytuacji wprowadza spokój i sensowność. Chcę wierzyć, że tym razem też tak będzie. Choć tego nie widzę.

Przesiadam się, żeby Bailey mogła zająć miejsce za kierownicą. Zamykam oczy, analizuję różne scenariusze, które mogły się wydarzyć. Utknął na jakimś megaważnym spotkaniu służbo-

wym. Zgubił telefon. Chce zaskoczyć Bailey jakimś szalonym prezentem. Chce zaskoczyć mnie jakąś podróżą. Myśli, że to zabawne. W ogóle nie myśli.

I właśnie wtedy słyszę z radia nazwę firmy Owena – The Shop.

Podgłaśniam, myśląc, że się przesłyszałam. Może sama tę nazwę wypowiedziałam, nagrywając wiadomość Owenowi. „Utknąłeś w The Shop?” Niewykluźnione. Ale potem słyszę resztę informacji, czytanej gładkim, miłym głosem spikerki z NPR.

– Dzisiejsza akcja była zwieńczeniem czternastomiesięcznego śledztwa prowadzonego przez SEC i FBI w sprawie praktyk software’owego start-upu. Możemy potwierdzić, że aresztowano prezesa The Shop, Avetta Thompsona. Zostaną mu postawione zarzuty defraudacji i oszustwa. Z dobrze poinformowanych źródeł nasza stacja dowiedziała się, że, tu cytuję, „są dowody, że Thompson zamierzał uciec za granicę, do Dubaju, gdzie chciał zamieszkać”. Niedługo usłyszą zarzuty zapewne inne osoby z kierownictwa.

The Shop. Ona mówi o The Shop.

Jak to możliwe? Dla Owena praca w tej firmie to zaszczyt. Sam tak mówi. Zaszczyt. Opowiadał mi, że zgodził się na obniżkę pensji, żeby do nich dołączyć. Niemal każdy, kto do nich przeszedł, zgodził się na obniżkę pensji, rzucając posadę w dużej firmie takiej jak Google, Facebook czy Twitter. Rezygnowali z wyższych zarobków, przystając na opcję udziałów zamiast tradycyjnego wynagrodzenia.

Czyż nie mówił, że zrobili to, bo wierzyli w technologię, nad którą pracował The Shop? To nie jest Enron. Theranos. To firma software’owa. Tworzyli narzędzia zabezpieczające prywat-

ność w sieci. Narzędzia, dzięki którym ludzie mogli kontrolować, co jest dostępne na ich temat. Zapewniające dziecinnie proste sposoby usunięcia kłopotliwego zdjęcia czy ukrycia strony. Chcieli brać udział w rewolucji w dziedzinie prywatności online. Chcieli zmieniać świat na lepsze.

Gdzie tu można oszukiwać?

Prowadząca przechodzi do reklam, a ja sięgam po telefon i wyświetlam Apple News.

Właśnie mam otworzyć stronę biznesową CNN, gdy z budynku szkoły wychodzi Bailey. Na ramieniu ma torbę, na twarzy wyraz, którego nie rozpoznaję, zwłaszcza gdy jestem jego adresatką.

Odruchowo wyłączam radio i odkładam komórkę.

„Chron ję”

Bailey szybko wsiada do samochodu. Zajmuje miejsce za kierownicę, zapina pas. Nie wita się ze mnę. Nawet się do mnie nie odwraca.

– Wszystko w porędku? – pytam.

Kręci głowę, fioletowe włosy wysuwają się z za uszu. Spodziewam się kęśliwej uwagi: „A tak wyglądam?”. Nic, cisza.

– Bailey?

– Nie wiem – mówi wreszcie. – Nie wiem, co jest grane...

I wtedy to zauważam. Torba. Torba, z którą Bailey wsiadła, to nie jest jej listonoszka. To torba podróżna, duża czarna torba podróżna. Bailey trzyma ją na kolanach ostrożnie, jak dziecko.

– Co to jest? – pytam.

– Zajrzyj.

Mówi to tak, że na pewno nie chcę zaglądać. Ale nie mam za bardzo wyboru. Bailey przekłada mi torbę na kolana.

– No, śmiało. Zajrzyj, Hannah.

Odsuwam zamek tylko trochę, a i tak ze środka wysypują się pieniądze. Paczki banknotów, jedna za drugą, setki banknotów studolarowych spiętych gumkami. Mocnymi, wytrzymałymi.

– Bailey... – szepczę. – Skąd to masz?

– Ojciec zostawił mi to w szafce.

Patrzę na nią z niedowierzaniem, serce mi przyspiesza.

– Skąd wiesz? – pytam.

Bailey podaje mi kartkę, a raczej rzuca ją w moją stronę.

– Powiedzmy, że zgadłam.

Biorę kartkę do ręki. Kartkę z żółtego notesu w linie. To już drugi liścik od Owena dzisiaj, drugi na takiej żółtej kartce.

Druga połowa mojej kartki. Na wierzchu widnieje napis „Bailey”, podkreślony podwójną linią.

Bailey,

cokolwiek napiszę, będzie bez sensu. Bardzo mi przykro. Wiesz, co jest dla mnie ważne.

I wiesz, co jest ważne dla Ciebie. Proszę, trzymaj się tego.

Pomóż Hannie. Rób, co mówi.

Ona Cię kocha. Oboje Cię kochamy.

Jesteś całym moim życiem.

Tata

Wpatruję się w liścik, aż oczy zaczynają mi łzawić. I już rozumiem, co się stało, zanim Owen spotkał się z dwunastolatką w ochraniaczach. Wyobrażam sobie, jak biegnie szkolnym korytarzem, jak pędem mija szafki. Przyjechał tu podrzucić córce torbę. Dopóki jeszcze mógł.

Czuję w piersi palący ból, oddycham z coraz większym trudem.

Uważam się za osobę, której nie sposób wyprowadzić z równowagi. Można powiedzieć, że tak mnie ukształtowało życie. A tak jak w tej chwili czułam się do tej pory raptem dwukrotnie: w dniu, gdy zrozumiałam, że moja matka już nie wróci, i w dniu śmierci mojego dziadka. Kiedy spoglądam na kartkę od Owena i na nieprzyzwoitą sumę pieniędzy, które zostawił, znowu to czuję. Jak opisać to uczucie? Jakby moje wnętrzości chciały się wydostać na zewnątrz. Którąkolwiek stroną. To taki moment, gdy mogę wszystko zarzygać.

I tak właśnie robię.

Zajeżdżamy na miejsce parkingowe przed wejściem do doków.

Przez całą drogę miałyśmy okna otwarte, ciągle zasłaniam usta chusteczką.

– Myślisz, że jeszcze będziesz rzygać? – pyta Bailey.

Kręcę głową, próbując przekonać siebie równie mocno jak ją.

– Już w porządku – mówię.

– Bo to by ci pomogło...

Widzę, że z kieszeni swetra wyciąga skręta. Podaje mi go.

– Skąd to masz? – pytam.

– W Kalifornii jest legalna!

To ma być odpowiedź? I czy w ogóle marihuana może być legalna, gdy mowa o szesnastolatce?!

Może nie chce mi odpowiedzieć, zwłaszcza że pewnie ma skręta od Bobby'ego. Bobby jest takim jakby jej chłopakiem. Chodzi z nią do szkoły, do ostatniej klasy, i z pozoru to dobry chłopak, choć trochę nerdowaty: wybiera się na Uniwersytet

Chicago, jest przewodniczącym samorządu uczniowskiego. Nie ma fioletowych pasemek. A jednak Owen z jakiegoś powodu mu nie ufa. Chętnie bym to przypisała nadopiekuńczości, ale Bobby podsyca wzgardę Bailey dla mnie, co mi nie pomaga. Czasami po spotkaniu z nim przychodzi do domu i rzuca coś paskudnego pod moim adresem. Staram się nie traktować tego osobiście, Owenowi się to nie udaje. Kilka tygodni temu pokłócił się z Bailey o Bobby'ego, powiedział, że jego zdaniem spędza z nim za dużo czasu. Był to jeden z tych rzadkich momentów, gdy widziałam, jak Bailey patrzy na Owena takim samym lekceważącym spojrzeniem, jakie zawsze rezerwuje dla mnie.

– Nie, to nie – mówi teraz. – Chciałam ci pomóc.

– Nic mi nie jest. Ale dzięki.

Już pakuje skręta z powrotem, a ja biję się z myślami. Staram się za bardzo jej nie matkować. To jedna z nielicznych rzeczy, które ona we mnie chyba lubi.

Odwracam się w stronę okna, odnotowując w pamięci, że muszę to omówić z Owenem, jak wróci – niech on zdecyduje, czy Bailey ma zatrzymać skręta, czy go oddać. I wtedy do mnie dociera: nie mam pojęcia, kiedy Owen wróci. Nie mam pojęcia, gdzie jest.

– Wiesz co... – mówię. – Wezmę jednak.

Wznosi oczy do nieba, ale przekazuje mi skręta. Wsadzam go do schowka i schylam się po torbę.

– Zaczęłam liczyć... – mówi.

Podnoszę na nią wzrok.

– Pieniądze – dodaje. – W każdym rulonie jest dziesięć tysięcy dolarów. Doszłam do sześćdziesięciu. I wtedy przestałam liczyć.

– Sześćdziesiąt?

Zbieram rulony, które wypadły na fotel, na podłogę, wypycham je do torby. Potem ją zapinam dokładnie, tak żeby Bailey nie musiała znowu patrzeć na wielką furę pieniędzy. Żeby żadna z nas nie musiała.

Sześćset tysięcy dolarów. Co najmniej.

– Lynn Williams repostowała wszystkie tweety „Daily Beast” w swoich story – mówi Bailey. – Wszystko o The Shop i Avettie Thompsonie. Że jest jak Madoff. Tak o nim ktoś napisał.

Analizuję, co wiem. Szybko, klarownie. Wiadomość Owena do mnie. Torba dla Bailey. Raport w radiu sugerujący defraudację i oszustwo na wielką skalę. Avett Thompson jako mózg czegoś, co ciągle do mnie nie dociera.

Czuję się jak w jednym z takich pokręconych snów, które się zdarzają tylko wtedy, gdy śpisz o niewłaściwej porze, po przebudzeniu czujesz popołudniowe słońce albo nocny chłód i jesteś dezorientowana – i musisz się odwrócić do człowieka obok, do człowieka, któremu ufasz najbardziej, szukając wyjaśnienia. To był tylko sen: pod łóżkiem nie ma żadnej bestii. Nie ścigano cię właśnie po ulicach Paryża. Nie skoczyłaś z Willis Tower. Twój mąż nie zniknął bez wyjaśnienia, zostawiając córce sześćset tysięcy dolarów. Co najmniej.

– Nie mamy na razie żadnych informacji – mówię. – Ale nawet jeśli to prawda, że The Shop jest w coś zamieszane, albo jeśli Avett zrobił coś niezgodnego z prawem, to jeszcze nie znaczy, że twój ojciec ma z tym coś wspólnego.

– Więc gdzie on jest? I skąd wziął te pieniądze?!

Krzyczy na mnie, bo chce krzyżeć na niego. Doskonale to rozumiem. „Jestem równie wściekła jak ty” – myślę. A też chcę to powiedzieć do Owena.

Patrzę na nią. Potem się odwracam, kieruję wzrok na okno, na doki, na zatokę, na wszystkie te domy z włączonymi światłami w tym dziwnym niewielkim osiedlu. Patrzę prosto w okna domu państwa Hahn. Siedzą na kanapie obok siebie, jedzą swoje wieczorne lody i oglądają telewizję.

– Co ja teraz zrobię, Hannah? – pyta. Moje imię wisi jak oskarżenie.

Odgarnia włosy za uszy, widzę, że warga jej drży. To takie dziwne i niespodziewane – Bailey nigdy przy mnie nie płakała – że prawie wyciągam do niej ręce, żeby ją przytulić, jakbyśmy to robiły na co dzień.

„Chron ją”

Odpinam swój pas. I odpinam jej pas. Proste ruchy.

– Chodźmy do domu, podzwonię – mówię. – Ktoś musi wiedzieć, gdzie jest twój ojciec. Od tego zaczniemy. Zaczniemy od znalezienia go, żeby nam to wszystko wyjaśnił.

– Dobra.

Otwiera drzwi samochodu i wysiada. Ale nagle odwraca się do mnie z płomiennym wzrokiem.

– Ale Bobby przychodzi – mówi. – Nie powiem nic o przesyłce specjalnej od ojca, ale chcę, żeby przyszedł.

Nie pyta. I zresztą jaki mam wybór, nawet gdyby spytała?

– Z tym że zostajecie na dole.

Wzrusza ramionami, co stanowi namiastkę ustaleń w tej kwestii. Nie mam szansy za bardzo się tym przejąć, bo właśnie w tej chwili zajeżdża jakiś samochód, jego reflektory nas oślepiają, jasne i nachalne.

„Owen – myślę. – Niech to będzie Owen”

Zaraz jednak przychodzi mi do głowy trafniejsza koncepcja: to policja. To na pewno policja. Przyjechali szukać Owena, zebrać informacje o jego udziale w nielegalnych działaniach firmy, chcą ocenić, co wiem o jego pracy dla The Shop i aktualnym miejscu pobytu. Jakbym miała im cokolwiek do powiedzenia.

Ale i ta koncepcja jest błędna.

Światła się wyłączają, a wtedy widzę, że to błękitny mini cooper, czyli Jules. Moja najlepsza przyjaciółka wyskakuje z auta i pędzi z szeroko otwartymi ramionami. Tuli nas, Bailey i mnie, z całych sił.

– Cześć, kochane – mówi.

Bailey też ją tuli. Nawet Bailey uwielbia Jules, choć to mnie zawdzięcza jej obecność w swoim życiu. Bo Jules każdemu, kto ma szczęście ją znać, daje pokrzepienie i poczucie stabilności.

Może właśnie dlatego najzupełniej w świecie nie spodziewam się słów, które padają z jej ust:

– To wszystko moja wina.